

CYRKULACJA BIBUŁY. SKŁADY

Bibuła, przetransportowana przez granicę oraz wyprodukowana w drukarniach krajowych, musi być rozpowszechniona, w przeciwnym razie byłaby nieużytecznym balastem i ciężarem. Porównałem wyżej drukarnię do koła — części ogólnej maszynierii organizacyjnej. To samo jest i z bibułą, sprowadzaną z zagranicy. Żeby jedno i drugie miało sens, żeby nie było czymś w rodzaju sztuki dla sztuki, trzeba, by te koła były dopasowane do innych części maszynierii, poruszały się zgodnie i harmonijnie. Tą resztą maszynierii dla bibuły jest służba rozwozowa i kolporterka.

Kolporterka jest ostatnim aktem partyjnym w stosunku do tego lub owego egzemplarza bibuły. Jest ona częścią integralną agitacji i czynności organizatorskich. Natomiast służba rozwozowa, dostarczanie większej ilości bibuły do tego lub owego centra organizacji, stanowić musi część techniki, że się tak wyrażę, partyjnej.

Proszę sobie wyobrazić te stopy zadrukowanego papieru, wynoszącego rocznie do stu pudów wagi, proszę przedstawić sobie, że ten cały papier trzeba posegregować na gatunki i w rozmaitych ilościach każdego gatunku dostarczyć do dziesiątków punktów, posiadających rozmaite warunki komunikacyjne, życiowe i policyjne, — a łatwo zrozumieć, że bez jakiegoś systemu, bez cienia chociażby planu w robocie niepodobna spełnić takiej roboty. Dodajmy jeszcze, że organizacja dążyć musi do tego, by oręż agitacyjny, jakim jest bibuła wszelkiego rodzaju, był równomiernie w stosunkach partyjnych rozpowszechniony, by w dostarczaniu bibuły nie było przypadkowości, lecz, przeciwnie, panowała możliwa regularność maszynowa.

W europejskich stosunkach interes ten załatwia się w sposób nadzwyczaj prosty. Pisma mają adresy swych abonentów lub kolporterów, istnieją księgarnie, należące do tej lub owej organizacji i ułatwiające nabycie i rozpowszechnienie tego lub owego wydawnictwa. Do usług pism i księgarni otworem stoi poczta i instytucje przewozowe, jak kolej. Tam, w zaborze rosyjskim, ludzie bez tych rzeczy, do których każdy Europejczyk jest przyzwyczajony, obchodzić się muszą. Adresy przyjaciół, poczta, przesyłki kolejowe — to luksus, zbytek dla nich; więcej, to jest niebezpieczeństwo, okoliczność, ułatwiająca czynność barbarzyńskich prześladowców, ściągająca gro-

my na głowy tak nadawców, jak zarówno i odbiorców rzeczy, posyłanych legalną drogą.

Te braki kulturalne, z którymi organizacje rewolucyjne liczyć się muszą, wpływać muszą, rzecz prosta, na ogromne zmniejszenie ilości bibuły, kursującej w kraju, szczególnie zaś bibuły, periodycznie się ukazującej, która z natury rzeczy wymaga jakiejś takiej organizacji dla jej rozpowszechnienia. Przez granicę możnaby przetransportować mnóstwo książek, w tajnej drukarni możnaby odbić góry bibuły, lecz z chwilą, gdy w maszynarii organizacyjnej, rozprzestrzeniającej bibułę w kraju, są braki, gdy nie jest ona dopasowaną do ilości wyprodukowanej bibuły, nie będzie ona spożyta, skonsumowana, gdyż najczęściej nie dojdzie do rąk tych, dla których jest przeznaczona.

Przed wszystkim bibuła, jako rzecz martwa, lecz będąca ciałem fizycznym, posiadającym wagę i objętość, musi z centralnych punktów produkcji — granic i drukarni — być przyniesioną lub przywiezioną do jakiegoś również materialnego punktu — mieszkania ludzkiego, mieszkania, z którym konsumenci bibuły w jakiś sposób muszą być związani. Te mieszkania w języku technicznym zowią się zajazdami i łatwo zrozumieć, że w każdym miejscu, w którym bibuła się rozchodzi, musi istnieć ten pierwszy punkt — zajazd, gdzie bibuła wraz z człowiekiem się zjawia. Zajazdy ze względu na uczucia człowieka, opiekuna przynoszonej lub przywożonej bibuły, dadzą się podzielić na przykre i przyjemne.

Przyjemnymi są te, gdzie człowieka i bibułę spotykają z otwartymi ramionami, gdzie są oni pożądanymi gośćmi, nie wzbudzającymi obawy. Są to przeważnie zajazdy do ludzi partyjnych. Zajeżdżającemu sprawia przyjemność ta właśnie okoliczność, że gospodarz mieszkania dzieli wraz z nim odpowiedzialność zupełnie świadomie i traktuje wraz z zajeżdżającym bibułę i sprawę zajazdu jako swój interes, nie narzucony mu ze strony. Przykrymi są te, które się wyróżniają przeciwnymi cechami, tj. gdy przyjmujący bibułę boją się, tchórzą i człowiek, przywożący lub przynoszący bibułę, odczuwa, że odpowiedzialność cała za bezpieczeństwo interesu spada na niego samego.

Jak łatwo zrozumieć, przyjemnych zajazdów jest znacznie mniej, niż przykrych. Niestety, wraz z przyjemnością zajazdu wzrasta i niebezpieczeństwo, z nim związane. Im bardziej człowiek jest partyjnym, związanym z organizacją, im więcej nici łączy go z ruchem, tym bardziej prawdopodobnym jest, że obok przygotowanego na przyjęcie bi-

były zajazdu stoi gdzieś niepożądany «anioł stróż», «psycholog», tj. szpicel żandarmerii. Stąd przy poszukiwaniu zajazdów organizacja najczęściej się udaje na najdalsze peryferie ruchu, stara się wynaleźć punkty, jak najmniej z czynnym życiem organizacji związane.

Naturalnie, w wypadkach, gdy z powodu wielkiego znaczenia danego punktu oparcia dla bibuły — znaczenia, czy to z racji większej ilości niecenzuralnych wydawnictw, przezeń przechodzących, czy też absolutnej ich konieczności przy planowym rozkładzie pracy rozwozowej — organizacja nieraz jest zmuszoną odsunąć pewną jednostkę lub grupę od wszelkiej czynnej roboty, by w ten sposób zabezpieczyć dostarczenie bibuły.

Punkty takie stają się częścią maszynierii rozwozowej, kółkami w ogólnym systemie — są to zajazdy ściśle partyjne, przy których ludzie bierną rolę zajazdowiczów łączą najczęściej z czynną rolą dystrybutorów bibuły. Wobec jednak kosztowności takiego urządzenia, kosztowności nie tylko ze względu na pieniądze, lecz i na siły, zużyte dla zorganizowania takich punktów, organizacja najczęściej zadawałać się musi nielicznymi przyjemnymi i licznymi, mniej lub więcej, przykrymi zajazdami.

Liczba zajazdów przyjemnych zmniejsza się jeszcze bardziej wobec tego, że taki zajazd związany jest nieraz ze stykaniem się z osobami, nie wspólnego z ruchem rewolucyjnym nie mającymi. Oto np. syn lub córka, mieszkający przy rodzinie, udzielają swego mieszkania na zajazd. Może on być przyjemnym ze względu na szczere przywiązanie do sprawy części gospodarzy mieszkania, lecz nieprzyjemnym z powodu podejrzliwości, a nawet wyraźnej niechęci reszty. Jak mi opowiadano, są zajazdy, gdzie żona w sekrecie do męża przyjmuje i przechowuje bibułę.

W takich wypadkach zastosować się trzeba ściśle do wskazówek, udzielonych przez przyjmujących bibułę. Trzeba się trzymać pewnych, z góry określonych godzin, trzeba nieraz kłamać i grać narzuconą sobie rolę, trzeba często podtrzymywać rozmowę o najrozmaitszych, nieraz zupełnie sobie nieznanych, rzeczach i sprawach. Że nie należy to do przyjemnych rzeczy, że, przeciwnie, musi to nieraz męczyć takiego aktora z musu — łatwo to zrozumieć.

Nieraz taki nieszczęśliwy «aktor» jednego dnia udaje kolegę syna technika i sam, będąc np. lekarzem, rozprawia o szkołach technicznych i nawet w razie potrzeby o różnych technicznych sprawach, na drugi dzień przygotować się musi

do rozmowy o gospodarce wiejskiej, o której, jako mieszczuch, najmniejszego wyobrażenia nie ma. I dobrze jest, jeśli go przynajmniej uprzedzą i dokładnie powiedzą, co właściwie myśli o nim ten lub ów niewtajemniczony członek rodziny. Najczęściej wprost zgadywać trzeba należyte odpowiedzi na zapytania lub udawać mruka, człowieka, nie umiejącego i trzech zliczyć. W każdym jednak razie najprzykrzejszym jest uczucie strachu u gospodarzy.

Jeden z towarzyszków, który miał sobie poruczone dostarczenie bibuły do pewnego miasta w Królestwie, tak opowiadał o swym «zajeździe»:

— W mieście N. N. stosunki nasze w tym czasie były strasznie zaszpiclowane i raz po raz zmieniano zajazdy, wyznaczając nowe, bezpieczniejsze. Zajazdy stawały się coraz przykrzejsze, coraz częściej spotykały mię wydłużone twarze i niechętnie spojrzenia.

Przyszedł jednak świeży numer «Robotnika», trzeba było go dostarczyć i do N. N. Towarzysz, kierujący tam robotą, przy widzeniu się ze mną w Warszawie powiedział mi na pożegnanie:

— Słuchajcie, teraz z żadnymi pakunkami do nas nie przyjeżdżajcie. Tylko na sobie! Przycisnęli nas tam ostro ze wszystkich stron. Dawne adresy na nic. Dam wam nowy, ale uprzedzam, są to ludzie bardzo, bardzo tchórzliwi. Jak ten osioł, tyle ujedziesz, co ubijesz, co gwałtem wydusisz. Uprzedzicie mnie o dniu przyjazdu. Gdybym się nie zgłosił na randkę, będzie to oznaczało, że źle jest i ze mną. Uprzedzę w każdym razie innego z naszych, by mnie w tym wypadku zastąpił. Noclegu tam u nas nie szukajcie. Klimat tam obecnie niezupełnie zdrowy!

Zmarszczyłem się, gdym się dowiedział, że będę miał do czynienia z tchórzami. Mój towarzysz spostrzegł to.

— No! — dodał — nie podoba się wam taki interes!? Wierzę, ale co ja na to poradzę?

Więc po otrzymaniu «Robotnika» opakowałem się nim jak osioł i, wyprostowany jakbym kij połknął, jazda do N. N.

Przyjeżdżam, oglądam dworzec — rzeczywiście dosyć brzydko wygląda. Ciemnych, podejrzanych figur na dworcu i przed nim dosyć dużo. Oglądają przyjezdnych najbezcelniej. Mnie nikt nie zaczepia, nikt za mną się nie poruszył. Wałę na wskazany adres. Dzwonię. Otworzył mi drzwi młody, porządnie ubrany człowiek z semickimi rysami, który patrzy na mnie pytającymi oczami.

— Przepraszam pana — mówię, — pan Z. polecił mi zajść do pana i poczekać na niego tutaj.

— Proszę, proszę — odzywa się mój amfitrion, — niech pan wejdzie.

Ogląda mnie przy tym podejrzliwie, a gdym zdjął palto i wszedł do pokoju, pyta mnie nieśmiało.

— Pan od pana Z.? Pan Z. mnie uprzedzał, ale pan tylko czekać ma na niego? Czy jaki inny interes jest jeszcze?

Zawahałem się, czy mam powiedzieć o bibule, którą mam na sobie. Wreszcie postanowiłem zamilczeć i pozostawić tę sprawę do nadejścia Z., któremu, jako znajomemu, łatwiej przyjsć do porozumienia z gospodarzem.

— Pan dawno widział pana Z.? — zapytałem.

Mój gospodarz zawahał się również chwilę, wreszcie przyciszonym głosem odpowiedział, że dzisiaj rano wpadł do niego Z. i uprzedził go o mojej wizycie.

— Ale — dodał, — pan ode mnie co zabierze?

Nie zrozumiałem zapytania, alem się przekonał, że dobrze postąpił, nie mówiąc nic o bibule.

— Nie, proszę pana — odpowiedziałem, — nie zabiorę nic.

Twarz mego gospodarza wydłużyła się nieco, lecz zostawił mię w spokoju. Z miną zagniewaną odszedł do drugiego pokoju, gdzie słyszał lekkie kobiece kroki i dźwięki szkła, stawianego na stole. Pora była wieczorna, po podróży w niewygodnej pozycji pić mi się chciało, ucieszyłem się więc nadzieją otrzymania herbaty.

Lecz mój gospodarz drzwi za sobą zamknął i wkrótce z dźwięków, dochodzących do mnie z drugiego pokoju, musiałem wywnioskować, że spotka mię w tym wypadku zawód. Gospodarze, widocznie, postanowili nie zapraszać mnie na herbatę.

Ten brak gościnności rozgniewał mię, ale czekałem cierpliwie. Lecz minęła godzina, o którą się umówiłem z Z., a jego, ani kogo innego z towarzyszków nie było. Wobec tego, że Z. mię uprzedzał, abym nie nocował w N. N., musiałem coś przedsięwziąć — zbliżał się bowiem czas odejścia ostatniego pociągu, którym opuścić mogłem niegościnne N. N. Zdecydowałem się i zapukałem lekko do gospodarza, który z pochmurną miną wyszedł do mnie.

— Przepraszam pana — odezwałem się, — ale będę musiał iść do pociągu, a pan Z. dotąd się nie zgłosił do pana. Będzie pan łaskaw powiedzieć mu, że tu byłem, a oprócz tego zostawię u pana bibułę dla niego. Pan mu ją odda.

Nie skończyłem jeszcze swego przemówienia, gdy mój gospodarz schwycił się za głowę.

— Co? bibułę? — jęczał, — panowie mnie zgubią. Pan zostawił w przedpokoju pakunki z bibułą... tam chodzi służąca... zobaczyć mogła — mówił urywanymi słowami, biegnąc do przedpokoju.

— Ależ, panie — uspakajałem go, — żadnej bibuły w przedpokoju nie zostawiałem.

Gospodarz nie słuchał mnie, jak piorun wpadł do przedpokoju, po chwili wrócił, minę miał ogromnie wystraszoną.

— A co? — wyjąkał — nie ma! Już zgubił mnie pan!

Był zupełnie przybity i przygnębiony, ręce bezwładnie mu wisały. Co do mnie, byłem wściekły, lecz zarazem rozśmieszony.

— Czego pan rozpacza? — rzekłem. — Bibułę mam na sobie, nic się nie stało.

Gospodarz ożywił się. Spojrzał na mnie z pewnym zdziwieniem.

— Na sobie? — mówił, podchodząc do mnie i dotykając palcem ubrania. — Prawda, jest bibuła — potwierdził, spotkawszy pod palcem twardą przeszkodę. — Cóż pan teraz robi?

— Co zrobię? — odpowiedziałem, odpinając guziki od kamizelki. — Ot co: zdejmę z siebie i zostawię u pana.

Gospodarz, który niespokojnie śledził moje ruchy, nagle porwał mię za ramię i wciągnął do kąta, oddalonego od okna.

— Co pan robi? co pan robi? — szeptał mi wystraszonym głosem, — pan mnie gubi. Czy pan wie, kto tam mieszka? — pytał, wskazując przez okno na przeciwległą kamienicę z rzęsiście oświetlonymi oknami.

— Nie — przyznałem się, — nie wiem. A co?

— I ja nie wiem — mówił ku memu zdumieniu gospodarz, — ale czy pan zaręczy, że tam nie mieszka żandarm albo szpicel, czy pan zaręczy, że on tam przy oknie nie siedzi od dawna i nie pilnuje mnie i moich gości?

Przestrach mego gospodarza wzmagał się z każdą chwilą, z każdym słowem, wychodzącym z ust jego. Miał minę tak zrozpaczoną i tak komiczną zarazem, że się ledwie powstrzymał od wybuchu śmiechu. Postanowiłem jednak nie zwracać nań uwagi i w tym kącie, odwrócony od okna, wyjąłem spod ubrania owiniętą w papier bibułę. Gospodarz, który z rozpaczą patrzył na mnie, zrezygnowany i bezradny, wziął z moich rąk pakunki. W tej chwili u drzwi brzęknął dzwonek. Bibuła wypadła z rąk gospodarza, zbladł on śmiertelnie.

— Pan Z. — uspakajałem go. — Niechże pan pójdzie

otworzyć. Nie bój się pan! Jeżeli to żandarmi, przyznam się do bibuły, powiem, że moja. Niech pan w takim wypadku powie, że mnie pan nie zna, że zaszedłem do pana i wpychałem gwałtem te pakunki, że...

Nie dokończyłem, bo do pokoju już wchodził Z. Służąca otworzyła mu drzwi.

— Przepraszam — odezwał się z progu, — przepraszam, spóźniłem się nieco.

Mój gospodarz odetchnął, kolory powróciły mu na policzki. Z pewnym wyrzutem mówił do Z.:

— Pan mi nic nie powiedział, że ten pan — wskazał na mnie — przywiezie bibułę.

— Nic się nie stało — odparł Z. wesoło, — przecież, gdybym panu to powiedział, to pan albobys odmówił, albo jeszcze gorzej — zgodził się, a potem w potrzebnej chwili wyszedł z domu, zostawiając towarzysza na łaskę losów. Nic się nie stało, uspokójcie się!

— Ale pan zabierze to, co obiecał? — pytał jeszcze niespokojnie gospodarz.

— Zabiorę, zabiorę — mówił Z., klepiąc go po ramieniu.

Z. odprowadził mię na stronę i wyjaśnił sytuację. Rano wpadł do naszego gospodarza, uprzedził go o moim przybyciu po południu. Miał przy sobie kilka egzemplarzy «Przedświtu», które mu zostały po rozdaniu ostatniego numeru, a że po południu musiał pójść do paru dosyć «brudnych» miejsc, nie chciał mieć przy sobie bibuły. Prosił więc niegościnnego gospodarza, by do wieczora przechował te egzemplarze «Przedświtu» i obiecał zająć sam po nie lub przysłać kogokolwiek. W ten sposób zmusił niejako tchórzliwego gospodarza do oczekiwania.

Zrozumiałem teraz pytanie, z którym mnie spotkał gospodarz oraz jego kwaśną minę. Te parę egzemplarzy «Przedświtu» paliły go, chciał czym prędzej ich się pozbyć, a moja odpowiedź zrobiła mu zawód.

W istocie, gdy usłyszał od Z., że i «Przedświt» będzie zabrany, skoczył do drugiego pokoju. Po chwili wyszedł stamtąd, trzymając w jednym ręku rulonik bibuły, w drugim szklanek herbaty.

— Może wypijecie szklanek herbaty? — zwrócił do mnie uprzejmie.

Wypiłem czym prędzej herbatę, słuchając różnych poleceń Z., umawiając się z nim na przyszłość. Po chwili opuściłem N. N.

Naturalnie, takie przyjęcie bibuły oraz takie wybiegi

w celu urządzenia zajazdu są wyjątkowymi. Lecz często drżączka gospodarzy, przyjmujących bibułę, ich trwożliwe spojrzenia i pytania dają się we znaki towarzyszom, rozwozącym bibułę po kraju.

W każdym razie przytoczone opowiadanie świadczy, że nie zawsze jest łatwo urządzić zajazd dla bibuły. Dla każdego zajazdu trzeba możliwie ściśle się umawiać o termin przybycia bibuły, o porę dnia, która dla obydwóch stron, dającej i odbierającej, jest najdogodniejsza, trzeba uprzedzić tak jedną, jak drugą stronę o tym, kogo spotkać mogą przy zetknięciu się, nieraz opisać wygląd i zewnętrzne cechy przyjeżdżającego lub spotykającego. Wreszcie dla uniknięcia wszelkich rozpytywań o adresata trzeba odwożącemu bibułę dokładnie opisać, w jaki sposób ma on trafić do zajazdu. Najczęściej w tym celu rysuje się plan, obejmujący nieraz całą drogę od jakiegoś znanego punktu do drzwi mieszkania, przeznaczonego na zajazd. Omyłka lub niedokładność w takiej umowie może nieraz pociągnąć za sobą przykre, kłopotliwe następstwa.

Opowiadano mi o zabawnej scenie, która miała miejsce w niewielkim prowincjonalnym mieście z powodu takiej omyłki.

Jeden z młodych towarzyszków miał zawieźć do tego miasta bibułę. Inny, znający dokładnie tameczne stosunki, wytłumaczył mu możliwie dokładnie drogę od dworca kolejowego do zajazdu.

— Od dworca — mówił — ulicą na lewo. Miniecie jeden róg na prawo, w drugą ulicę na prawo skręcicie. Numerów tam nie ma, zresztą będzie jeszcze ciemnawo, gdy tam przyjedziecie. Ale po lewej stronie ulicy poznacie kamienicę, do której iść macie, po tym, że jest nieco wyższą od otaczających ją domów i przy bramie sterczy z muru kamień płaski, mogący służyć za ławkę. Jest to mniej więcej dwunasta kamienica od rogu. Przez bramę wejdziecie w podwórze, w prawej oficynie pójdziecie po schodach aż do skutku, na samą górę. Tam drzwi na prawo. Biletu wizytowego nie ma, dzwonek również. Zastukacie do drzwi mocno trzy razy. Otworzy wam facet niemłody, dosyć tegi, z wąsami, bez brody. Zapytacie: czy tu mieszka p. Bacewicz i powołacie się na moje konspiracyjne imię. To dzielny chłop, nasz agitator. Od niego weźmiecie zamówienia na przyszłość, korespondencje dla «Robotnika» i pokwitowania. Monety tam teraz nie otrzymacie, ale jeśli będą mieli, to weźcie.

Nasz towarzysz z małym zawiniątkiem, zawierającym bibułę, wyruszył. Przyjechał do owego miasteczka nad ranem,

gdy wszyscy mieszkańcy jeszcze spali. Zgodnie ze wskazówkami minął ulicę, odchodzącą na prawo, skręcił w drugą, szedł dosyć długo, lecz kamienicy wskazanej jeszcze nie dostrzegł. Zaczęło go to niepokoić, lecz nagle spostrzega ów kamień, sterczący z muru. Wchodzi do otwartej już bramy, ale z wielkim zdumieniem spostrzega, że prawej oficyny kamienica nie posiada. Zakłopotany, ogląda się po podwórzu, gdy nagle słyszy za sobą głos:

— A kogo tu pan szuka?

Za nim stał stróż kamieniczny z miotłą w ręku.

— Czy nie mieszka tu pan Bacewicz? — pyta nasz towarzysz niespokojnie.

— Bacewicz? — cedził flegmatycznie stróż — nie, nie mieszka. Ale, czekaj pan, taki tęgi, wąsaty? Co? No, to mieszkał, mieszkał tu dawniej, a jakże. Ale teraz nie ma.

— Może wiecie, gdzie się przeniósł? — pyta towarzysz.

— Wiem, niedaleko, na ulicę — tu wymienił jakąś nazwę ulicy, o której nasz towarzysz pierwszy raz w życiu słyszał.

— Nie znam miasta — przyznał się towarzysz, — jak mam na tę ulicę trafić?

— Trafić? — odparł stróż — łatwo. Chodź pan!

Wyprowadził go za bramę i, wskazując na dalszy ciąg ulicy, mówił:

— Pójdzie pan dalej. Widzi pan na rogu dom duży, to tam. A jakże, wiem, pomagałem temu panu przenosić rzeczy.

Nasz towarzysz ruszył we wskazanym kierunku, dotarł do narożnej kamienicy. W istocie kamienica była duża. Zaczął podejrzewać, że się omylił, bo przecie przy dawaniu informacji mówiono mu, że zajazd jest w największym domu na ulicy, a tym czasem ten, przed którym stał obecnie, był znacznie wyższy od poprzedniego. Lecz trzeba było brnąć dalej. Stróż zamiatał przed kamienicą ulicę.

— Czy tu mieszka pan Bacewicz? — pyta znowu.

— Tu, proszę pana, — odpowiada stróż — po frontowych schodach, na drugim piętrze na lewo. Ale tam jeszcze śpią, — ostrzega stróż.

— To nic, obudzę — odpowiada towarzysz, zadowolony, że dotarł nareszcie do celu. Trochę go to dziwi, że robotnik mieszka przy frontowych schodach, ale idzie na owo piętro. Jest i dzwonek. Dzwoni. Po chwili słyszy głos kobiecy za drzwiami:

— Kto tam?

— Przepraszam — mówi, — czy tu mieszka pan Bacewicz?

— Tu, ale śpi, proszę przyjść później — odpowiada kobieta za drzwiami.

— Jestem z drogi, mam pilny interes do pana, proszę obudzić — odpowiada towarzysz.

Głos za drzwiami milknie, po chwili drzwi się odmykają, przed naszym towarzyszem stoi w bieliźnie tęgi mężczyzna z zaspaną twarzą.

— Czego pan chce, do diabła? — mówi gospodarz opryskliwym głosem.

— Przepraszam pana, ja od pana Stanisława — mówi towarzysz, robiąc nacisk na imieniu.

— Od jakiego pana Stanisława? — burczy gospodarz, a widząc, że nasz towarzysz milczy, wpada w wściekłość. — Kto pan jest? — krzyczy. — Czego pan ludzi po nocy napastuje?

— Przepraszam pana — mówi towarzysz, zaczynając się przekonywać, że zaszła jakaś omyłka, — czy z panem Bacewiczem, szewcem, mam do czynienia?

— Co? — wpada w pasję gospodarz, — szewcem? Bacewiczem? Ja nie żaden szewc i nie Bacewicz, tylko urzędnik i Pacewicz. Jakim prawem pan mnie napastujesz po nocy? — rzuca się mężczyzna w negliżu, podnosząc potężną pięść pod nos towarzyszowi, — ja pana na policję odeślę! Toż to gwałt na równej drodze! Szuka szewca po nocach! Co?

Lecz towarzysz nasz nie słuchał już, a szybko zmiatał po schodach na dół. Poszedł wprost na dworzec i wyjechał z bibułą z powrotem.

Jak się okazało potem, informacje i plan nie były zupełnie dokładne. Informacja głosiła, że należy minąć pierwszą ulicę, idącą na prawo od drogi, łączącej dworzec z miastem. Lecz informator zapomniał dodać, że przed tą pierwszą ulicą odchodzi na prawo coś w rodzaju ulicy, jeszcze niezabudowanej, którą ludzie miejscowi za ulicę uważać jeszcze nie chcą. Nasz niefortunny towarzysz, nieuprzedzony o tym, uważał tę drogę za ulicę i nie doszedł do miejsca, gdzie mu skrócić należało.

Dodać jeszcze muszę, że nazwiska, przytoczone w tym opowiadaniu, są zmyślone. W rzeczywistości były one inne, lecz różnica pomiędzy nazwiskami poszukiwanego towarzysza i odnalezionego filistra polegała na tym jedynie, że się zaczynały od różnych, lecz pokrewnych ze względu na brzmienie liter.

Z tych opowiadań łatwo wywnioskować, jak skomplikowaną nieraz bywa służba rozwozowa. Bo proszę sobie wyobra-

zić, że oprócz trzymania w swej pamięci mnóstwa drobnych szczegółów adresu i warunków życiowych w zajazdzie, a raczej w zajazdach, niezapominania o terminach, sposobach wejścia i pytania o potrzebnych ludzi, trzeba się wciąż jeszcze liczyć ze zmianami, jakie ustawicznie w tym lub owym miejscu zachodzą. Wszystkie szczegóły jakiegokolwiek zajazdu, już utrwalone w pamięci, muszą być zastąpione przez nowe przy zmianie zajazdu, zmianie, niestety, zbyt częstej w walce z żandarmerią i szpiclami.

Dodajmy do tego, że na obowiązku towarzyszków, rozwodzących bibułę, leżą jeszcze i inne sprawy. Przy unikaniu poczty i korespondencji listownej, która żandarmom dostarczyć może niezbitych dowodów czyjejkolwiek winy i naprowadzić ich jest w stanie na ślady knowań rewolucyjnych, ludzie, chcący się porozumieć w jakiegokolwiek sprawie ze swymi współtowarzyszami organizacyjnymi w innym mieście, muszą dokonywać tego za pomocą i przy pośrednictwie ludzi, mogących mieć stosunki i widzieć się z członkami organizacji w różnych miejscach. Przy każdej więc wizycie towarzysza z bibułą ułatwiają się wszystkie interesy miejscowych członków organizacji do zamiejscowych. Zamówienia na bibułę, zmiany w ilości potrzebnych egzemplarzy periodycznych wydawnictw partii, zakomunikowanie takiej lub innej wiadomości, dane o członkach organizacji, którzy się przenieśli do innych miejscowości — wszystkie te, drobne nieraz, szczegóły życia rewolucyjnego obciążają niesłychanie już i tak przez szczegóły zajazdów obciążoną pamięć rozjazdowych towarzyszków. Mówię: pamięć, bo większość tych szczegółów dla konspiracji nie zapisuje się wcale, a jeśli i zapisuje się, to w jakiś dziwaczny sposób, mogący zaledwie ułatwić, lecz nie zastąpić robotę pamięci.

Proszę sobie teraz wyobrazić, że stosunki organizacji obejmują ogromny kawał kraju, sięgają do miasteczek powiatowych, a nawet ostatnio i na wieś, że te stosunki nie są jednorodne, lecz rozmaite pod względem składu członków organizacji oraz pod względem «czystości» policyjnej, że wreszcie ta setka pudów bibuły, stanowiąca roczną konsumpcję organizacji, jest w stanie, że tak powiem, płynnym, tj. ustawicznie się rusza z miejsca na miejsce — a zrozumiemy, jak ciężką i kosztowną jest praca rozwozowa. Jeden z towarzyszków, który dłuższy czas pracował w tej branży, mówił mi o tej pracy w te słowa:

— Jestem człowiekiem, dopóki nie siądę do wagonu. Mogę wówczas myśleć, czytać. Z chwilą, gdy wślazłem do tego pudła, — idiocieję. Słowo daję — mózg mi kamienieje. Po gło-

wie kręcą się tylko takie myśli: «o godzinie tej a tej będę tam — drzwi na lewo, bilet wizytowy jest; muszę zdążyć do wieczornego pociągu, bo na następny dzień randka w innym mieście, tam od dworca prosto, trzecia ulica na lewo, kamienica, czerwonymi ceglami upiększona; tam bibułę oddać, powiedzieć, że z Warszawy przeniósł się do nich stolarz taki a taki, zapytać o to czy owo, hasło gdzie indziej zawieźć itd. — godziny, na prawo, na lewo, liczba piętr, wyglądy facetów, mnie opisywanych» — oto moje myśli wagonowe. Głowa przestaje myśleć, staje się jakąś maszynką pamięciową.

— I wiesz — dodawał, — do czego zawsze tęskniłem? Do porządnego planu w robocie. Taka robota wówczas tylko idzie dobrze, gdy upodabnia się do maszyny, działającej z zegarkową regularnością. Ale gdzie tam! Taka maszynowa robota trwać może najwyżej miesiąc. A tam, zaledwieś się do niej wciągnął, już nastąpi cokolwiek — jakaś wsypa, nieprzewidziane przeszkody na granicy lub w drukarni, nagłe wypadki — jesteś wyrzucony z kolei, pociąg schodzi z szyn, turkocze rozpaczliwie po podkładach, wreszcie staje. I znowu rozpoczynaj nowe umowy, odwołuj naznaczone terminy, szukaj nowego planu i rozkładu roboty. Przekłęta robota!

Inny towarzysz, w tym samym oddziale pracujący, opisywał swe wrażenia nieco inaczej. Był to młody chłopak, który od prowincjonalnej, spokojnej roboty został wzięty właśnie do pracy rozwozowej. Trafił on widocznie akurat na czasы względnie nieawanturnicze, gdy owa «maszynowa robota» była możliwa. Był zachwycony.

— Nigdy — mówił — nie przypuszczałem, że jesteśmy tak silni. Wszędzie są nasi, wszędzie idzie praca rewolucyjna. Kiedym dawniej czytał «Robotnika» i spotykałem korespondencje z różnych stron kraju, nie umiałem poza tymi wiadomościami dojrzeć ludzi, którzy tym lub owym się wzruszają i tak lub inaczej są z nami związani. Dopiero przy osobistym zetknięciu z nimi przekonałem się o realności różnych rzeczy organizacyjnych. I jaka to ogromna robota! Jak przyjemnie czuć się kołem w ogromnej maszynie, która całą siłą pary ciągnie w świetlaną przyszłość naszą ojczyznę! Nigdy, patrząc ze strony na roboty partyjne, nie przypuszczałem, że panować tam może taka regularność i takie powiązanie części organizacji ze sobą.

Przyszły jednak i ciężkie dni, dni trwogi i kryzysu, gdy nici organizacyjne rwą się i pękają, gdy dzisiaj staje się niepodobne do wczoraj, gdy, stawiając krok, nie jesteś zupełnie pewnym, czy go stawiasz celowo i produkcyjnie. Towarzysz,

o którym mowa, nieco się zdekoncertował — poznał odwrotną stronę medalu. O partii i jej przyszłości nie zwątpił, lecz był zły na świat cały.

— Tak było dobrze i pięknie! — mówił, — a tu masz diable kaftan! Okazało się, że ta piękność — to budowa na piasku, wiecznie się rozsypująca i nietrwała. I czy tak długo będzie? Ile my już zmarnowaliśmy sił, pieniędzy i czasu na to samo, co jeszcze wczoraj tak łatwo było uskutecznić!

Był zakłopotany, niepewny, wahający się. Trochę go uspakajała równowaga starszych towarzyszków, którzy już przeżyli niejedną taką burzę, z niejednego zawikłania już wyszli i którzy z filozoficznym spokojem patrzyli na rozbitcie tego lub owego planu, na zrujnowanie tej lub owej części organizacji, na taki lub inny zawód czy rozczarowanie.

Najwspanialej jest opracowana praca rozwozowa wydawnictwa krajowego — «Robotnika». Pod tym względem partia nie żałuje ani kosztów, ani sił, by zapewnić swemu piśmiu możliwie szybkie rozpowszechnienie we wszystkich stosunkach partyjnych. Nieraz partia urządza się w ten sposób, że w większości poważniejszych ognisk życia organizacji «Robotnik» dochodzi do rąk swych stałych odbiorców w dzień wyjścia z tajnej drukarni. Reszta otrzymuje «Robotnika» w dwa, trzy dni po wyjściu i tylko najdalsze zakątki, najgłuchsze dziury, gdzie stosunki są drobne i nieliczne, czekać muszą tydzień, niekiedy i więcej, na okazję, przy której się załatwiają wszystkie interesy partyjne z całą okolicą. Ładnie wygląda rozpowszechnienie «Robotnika» w samej Warszawie, pochłaniającej więcej, niż trzecią część nakładu.

Oto w określonym z góry punkcie — zajeździe, specjalnie w tym celu przygotowanym — w naznaczonym na kilka dni przedtem terminie, ścisłym aż do godziny, lecz znanym tylko nielicznej garstce najbardziej zaufanych ludzi, zjawia się towarzysz z «Robotnikiem», którego dwie ostatnie strony jeszcze niezupełnie obeschły po wyjściu spod prasy. Już nań oczekują przygotowani do tej czynności «dromaderzy» i «dromaderki» — towarzysze i towarzyszki. W jednej chwili cała kupa papieru jest podzielona na części, odpowiadające podziałowi organizacji warszawskiej. W pół godziny, najwyżej godzinę lub dwie, nie zostaje w zajeździe ani śladu «Robotnika». Wyruszył on na najbliższy etap, do mieszkań, wyznaczonych przez głównych kierowników poszczególnych części organizacji.

Tam następuje nowy podział na drobniejsze już działy, zawierające jednak nieraz pięćdziesiąt i trochę więcej egzem-

plarzy. Te są przeznaczone dla głównych organizatorów zgrupowanych stosunków. Jest to ostatni etap, gdzie «Robotnika» dnia tego oczekują. Dla reszty stosunków «Robotnik» jest niespodzianką. Tutaj terminy — godziny i minuty — są rozmaite, zależnie od warunków życiowych tych ludzi, którzy się zajmą dalszym podziałem, dalszym rozpowszechnieniem «Robotnika». Lecz w wyjątkowych jedynie wypadkach, gdy w danej grupie stosunków coś przed samym wyjściem «Robotnika» się zepsuło, przygotowane egzemplarze czekają dnia następnego. Zwykle idą w kurs tegoż dnia.

Organizatorowie rozdrabniają jeszcze bardziej otrzymaną kupkę «Robotnika». Już wyznaczyli na ten dzień pod rozmaitymi pozorami randki zaufanym ludziom ze swych stosunków. Randki zaś są obliczone tak, by móc jednego dnia załatwić je wszystkie. Najczęściej więc w dniu wyjścia «Robotnika» jest on w ręku ogromnej większości członków organizacji. I tylko dalszą drogę, wędrówkę z ręki do ręki, z domu do domu, z miast do miasteczek i na wieś — odbywa «Robotnik» już wolniej, bez pośpiechu.

Periodyczna bibuła pochodzenia zagranicznego nie może korzystać z tak wyrównanej, zawczasu przygotowanej drogi. Nie może, bo terminu jej nadejścia niepodobna wobec stosunków granicznych określić ze ścisłością. Rozpowszechnienie więc czy to numeru «Przedświtu», czy «Światła», czy jakiego innego pisma nie idzie tak szybko i tak regularnie, jak opisane wyżej doreczanie odbiorcom «Robotnika». Trwa ono tygodniami całymi i najczęściej brak w nim planu, specjalnie na ten wypadek wyrobionego. Dzisiaj któryś z numerów, np. «Przedświtu» jest w Warszawie, a w jakimś Radomiu lub Kownie może się ukazać dopiero za tydzień, w zależności od tego, czy w tym czasie były jakie «okazje» partyjne, czy towarzysze, zajmujący się rozwożeniem lub łączeniem pojedynczych organizacji lokalnych w jedno, mieli właśnie tam interesy do załatwienia. W każdym jednak razie bibuła periodyczna, mająca z góry określoną liczbę odbiorców, nie sprawia tak wielkiego kłopotu, jak bibuła książkowa i broszurowa.

Przy pracy z tą ostatnią znika z natury rzeczy wszelka regularność i określoność. Bo proszę: dzisiaj w tym stosunku może być potrzebna taka broszura, jutro inna, stamtąd żądają dużo rzeczy do czytania, skąd inąd mniej. Książka i broszura nie jest pismem i przy większym rozpowszechnieniu wymaga istnienia księgozbioru, z którego przy potrzebie można by wziąć akurat tyle egzemplarzy, ile się chce lub wymaga. Na całym świecie dla zadowolenia tej potrzeby istnieją księ-

garnie i, naturalnie, coś podobnego do księgarni musi być urządzonym i dla bibuły broszurowej, jeśli broszura i książka ma być nie czymś wypadkowym, lecz stałym zjawiskiem.

Rolę księgarni spełniają tzw. w języku technicznym «składy» — składy bibuły. I jedną z trosk najdrobniejszej nawet organizacyjki lokalnej jest urządzenie takiej właśnie księgarenki — składu na swe potrzeby.

Jak każdy łatwo zrozumie, te poszczególne składziki muszą być w jakimkolwiek związku z pokażniejszymi składami, odgrywającymi względem nich taką rolę, jaką odgrywają hurtowne składy dla handlów detalicznych. Muszą istnieć źródła, z których możnaby czerpać odpowiedni towar w odpowiednich ilościach. Jeżeli zaś sobie przedstawimy, że stosunki organizacji są liczne i szeroko rozgałęzione, że z konieczności grupować się one muszą koło jakichkolwiek ognisk, będących centralnymi jedynie dla pewnej części stosunków, zrozumieemy, że te pokażniejsze składy, będąc hurtownymi dla najdetaliczniejszych składzików, muszą swoją koleją mieć jeszcze bardziej centralne źródło — centralną lub centralne księgarnie-składy. Jest to więc cała sieć mniejszych i większych składów-księgarni, obsługujących odpowiednio do swej wielkości jakąś jedną fabrykę lub fach w danym mieście, albo też całą serię takich drobnych księgarenek.

Najbardziej pokażnie i poważnie wygląda, naturalnie, skład centralny, główny, nie bawiący się wcale w żadne detaliczne stosunczki. Gdyby kto jednak przypuszczał, że jest on choć nieco podobnym z zewnętrznego wyglądu do najmarniejszej nawet księgarni, gruboby się omylił. Przeciwnie, przypuszczam, że gospodarze takiego składu, jak ów towarzysz z drukarni, co to życzył sobie, by otoczenie go podejrzывało o analfabetyzm, unikają jak najstaranniej każdej, widocznej dla otoczenia, rzeczy, mogącej mieć coś wspólnego z książkami.

Taki skład jest partyjnym interesem równie dobrze, jak i drukarnia, i, naturalnie, musi być zabezpieczonym, jak i ona, od wszelkich bezpośrednich stosunków z czynnym życiem partyjnym.

Różnica pomiędzy składem a drukarnią polega na tym, iż skład musi być urządzony tak, by bez narażania jego pozorów możnaby było mieć z nim częste stosunki.

Jeden z towarzyszków, który z obowiązku partyjnego musiał mieć częste z głównym składem stosunki, tak go opisywał:

— Skład główny — mówił on — był umieszczony u niezamożnej wdowy, staruszki, która zajmowała z córką niewielkie mieszkanie w dużej kamienicy. Przyznam ci się, że lubiłem

tam bywać. Nie uśmiechaj się podejrzliwie, córka wcale nie była dla mnie tym magnesem przyciągającym.

Panna rozsądna, dosyć inteligentna, ale nie w moim guście. Natomiast serdecznie byłem przywiązany do staruszki — gospodyni składu. Co za serce, współczujące każdej biedzie, każdemu nieszczęściu, miała ta kobieta! Jaką zachowała świeżość uczuć! Wiesz, może mię nazwiesz trochę sentymentalnym, ja nabieram zawsze odwagi do życia, gdy spotkam kogo ze starszej generacji, zdolnego do odczucia potrzeb nowych pokoleń.

— Pomyśl — dodał, — przecie ci ludzie przeszli przez takie próby, o jakich nam się nie śniło. Przeżyli, przeboleli straszny rok 1863. Nadzieje z wiosny ich życia brutalnie rozbito, wciśnięto ich w nowe, znacznie więcej skomplikowane warunki życiowe. Serce mieli czułe, więc w tym życiu każdy krok ich musiał być łzą serdeczną — i pomimo to zachować zdolność, jeśli nie do zrozumienia, to do odczucia nowych, całkiem nieznanych dotąd, prądów, często wyszydanych i oplwanych przez ich otoczenie. Zdawałoby się, że tam, w ich sercu, w najlepszym razie są zawarte jedynie groby posępne i krzyże mogilne, a tym czasem spostrzegasz, że jest ono zdolnym do bicia w takt z najmłodszymi, z najbardziej żądnymi życia sercami.

— Ale do rzeczy — mówił nieco wzruszony. — Nasze panie zajmowały dwa niewielkie pokoiki, umeblowane nieco po staroświecku. Sługi nie miały, bo dochody ich były bardzo skromne. Córka miała kilka lekcji, matka trochę uciulanego grosza. My dla składu odnajmowaliśmy jeden pokój. Skład urządzony był w pokoju sypialnym, gdzie stał duży kosz, będący naszą księgarnią. Niekiedy, gdy bibuły zbierało się więcej, oprócz kosza napelniało się i walizki, przechowane pod łóżkiem. W koszu na górze leżała książeczka rachunkowa. Każda broszura, każda książka miała osobną stronicę, na której się zapisywało dochód i rozchód danej książki. Obok leżał plan kosza, ułatwiający poszukiwanie potrzebnych książek. Gospodyni pilnie przestrzegała, by każdy z upoważnionych do czerpania z zapasów bibuły nie zapomniiał zapisać, co wziął ze składu. Porządek zaś w koszu i walizkach był starannie utrzymany. Nigdy mi się nie zdarzyło nie znaleźć poszukiwanego tytułu w odpowiednim miejscu podług planu.

Gdy się wychodziło ze składu do pokoju neutralnego, zastawało się zwykle gospodynię, przyrządzającą herbatę. Nie było sposobu wymówić się od zadowolenia gospodyni pod tym względem.

— Ależ niech pan siada — mówiła staruszka, — nie puszczę pana bez herbaty. Nabiega się, namęczy chłopiec, to musi mieć apetyt. Wy tam biedacy nieraz bez obiadu cały dzień przebiegacie. Musi pan cokolwiek przegryźć!

Przy herbacie umawiano się o następne wizyty, o czas, gdy którakolwiek z gospodyń musiała być w domu. Gospodyni polecała, by powiedzieć komu należy, że tego lub owego wydawnictwa jest już mało lub wcale nie ma. Wreszcie odpowiednio do ilości bibuły wywoziło się ją w walizce lub wynosiło na sobie.

Mniej więcej tak samo wyglądają i mniejsze składy w różnych ogniskach życia partyjnego — następne etapy bibuły po wyjściu ze składu głównego. Lecz w tym wypadku niepodobna najczęściej urządzać je, jako partyjne interesy, i tak samo, jak z zajazdami, trzeba wyruszać na poszukiwanie mieszkania dla składu za peryferie organizacji i ruchu, jako najbardziej zabezpieczone od napaści żandarmów i od ataków szpiclowskich. Peryferie jednak, jak to zaznaczyłem już przy zajazdach, mają tę złą stronę, że bardziej, niż czynna armia, podlegają uczuciu strachu i bardziej są kapryśne w drobiazgach przy stosunku z tym życiem. Więc ludzi, stanowiących łącznik pomiędzy składem a organizacją, bardzo często spotykają te same przykrości, o jakich mówiłem, opisując zajazdy.

W jednym wypadku trzeba się trzymać ściśle godzin i nawet minut, w ciągu których jedynie skład załatwia swe czynności; w drugim — nie może utrzymywać stosunku ze składem mężczyzna, w innych, odwrotnie, kobieta. Najczęściej zaś urządzenie składu zależy od osobistego zaufania gospodarza lub gospodyni składu do osoby, zarządzającej go, i wszelka nowa figura w tych wypadkach budzi strach i podejrzenie. W razie więc aresztowania tej osoby następuje najczęściej panika, która nieraz prowadzi do niszczenia bibuły, z takim kosztem i poświęceniem dostarczonej do składu. W ogóle paniczny strach na peryferiach ruchu stanowi zwykle jeden z najbardziej dających się we znaki kłopotów organizacji. Bywa on komicznym, nie przestając jednak być kłopotliwym.

Jeden z towarzyszków opowiadał mi właśnie o takim wypadku w sposób następujący:

— Bibułą — mówił mi — w Wilnie rządził przez dłuższy czas towarzysz Michałowski¹⁾ (umarł po powrocie z wygnania w 1899 r.). Michałek nie odznaczał się ani porządkiem, ani

¹⁾ Leon Michałowski, działacz P. P. S. z Wilna, znany z ogromnej siły fizycznej, zmarł w 1899 r. po powrocie z zesłania.

systematycznością. Miał talent teroryzowania różnych swych znajomych i bez ceremonii zostawiał u nich na przechowanie ten lub ów pakunek z bibułą, besztając ich przy tym, że są głupimi burżujami. Zapewniał każdego z nich, że im się nic nie stanie, że wewnątrz każdej paczki zostawiał kartkę, głoszącą, że ta bibuła należy do niego, Michałowskiego, co też rzeczywiście robił.

Było to w początkach ruchu P. P. S-owego i młoda organizacja nie wypracowała jeszcze ani porządnego planu działań, ani usystematyzowała swej maszynerii. Jak w sprawie bibuły i drukarni tajnych, tak i w sprawie maszynerii organizacyjnej P. P. S. była pionierem, przekładającym nowe ścieżki, niewydeptane dotąd przez poprzedników na polu rewolucyjnym. Nic dziwnego, że organizacja kłopotów i przeszkód miała mnóstwo. Bibuły np. było dużo, lecz często spotykało się kłopoty i przeszkody w jej ulokowaniu. Na pomoc w tych wypadkach zawsze przychodził Michałek.

— Co u czorta! — mówił swym śpiewnym, litewskim akcentem. — Bibuła? Dawajcie ją mnie, już ja się nią zaopiekuję. U mnie w Wilnie spokojnie, niech leży!

Bibułę brał i rozlokowywał ją u różnych znajomych. Lecz że ani spisów bibuły nie prowadził, ani też sam dobrze nie wiedział, gdzie i co u niego leży, wkładał się więc stopniowo nieporządek i bezład okropny. Nikt nie był nigdy pewnym, czy taką lub inną broszurę w wymaganej ilości otrzyma. Nareszcie postanowiono założyć skład główny i oddać go pod opiekę bardziej porządnego towarzysza. Było to tym bardziej koniecznym, że Michałowski był pod dozorem policyjnym za dawną sprawę i pisał, że mu zaczyna ten dozór dokuczać.

— Wydelegowano — mówił mi ów towarzysz — mnie do Wilna dla zrobienia porządku z tym interesem. Trzeba było wypadku, że po przyjeździe do Wilna Michałka już nie zastałem; aresztowano go i osadzono w 14 numerze (X pawilon wileński). Parę dni spędziłem na poszukiwaniu najbliższych znajomych Michałka i rozpytywaniu ich o bibułę. Ludzie ci, chociaż przestraszeni aresztowaniem Michałowskiego, zgodzili się pomóc mi w poszukiwaniach i ściągnięciu bibuły do jednego miejsca. Lecz, niestety, wskazówek co do miejsc, gdzie bibuła była ulokowana, mieliśmy skąpo. Znaleźliśmy dwa, trzy pudy, wtedy gdy ja z otrzymanych w Warszawie informacji oczekiwałem co najmniej 8—10 pudów.

Nie ustawialiśmy w poszukiwaniach i rozpytywaniach różnych znajomych Michałowskiego. Trudno sobie wyobrazić, z jakimi typami wówczas się spotkałem. Stare baby, trzepiące

pacierze, młode dziewczyny, naiwne i głupiutkie, stateczni inżynierowie, którzy ze wstydem się przyznawali, że bibułę ze strachu wywieźli na wieś, młodziutcy gimnazjaliści, którzy zakopywali bibułę w ogrodach na przedmieściu. Wszystko to było wystraszone, oczekujące z każdą chwilą napaści żandarmów, przeklinając biednego Michałka za bezczelność. Niektórzy pod wielkim sekretem przyznawali się, że spalili bibułę. Po tygodniu poszukiwań, w czasie których codzień otrzymywałem wiadomość, że znowu gdzieś na jakichś «kiszkach» — tak bowiem, zdaje się, kończą nazwy wielu przedmieść wileńskich — okazała się schowana bibuła, po tygodniu — mówię — zebrałem coś koło ośmiu pudów.

W końcu tych poszukiwań napotkałem najzabawniejsze ze wszystkich schowanko Michałowskiego. Jeden z moich pomocników w poszukiwaniach opowiedział mi, że doszła doń wiadomość, że jakiś dawny kolega Michałowskiego również był obdarzony bibułą przez niego. Ruszamy do owego kolegi. Spotkał nas młody chłopak, który powiedział, że właściwie nie on przechowywał bibułę, lecz że Michałek wraz z nim odwoził ją do «jednej pani».

— Możesz pan stamtąd ją wydobyć? — pytam.

— Dobrze — odpowiada chłopak, — ale ktoś z panów ze mną pojedzie, ja wyniosę od tej pani bibułę, ale sam wozić jej nie chcę.

Zgodziłem się na to. Pojechaliśmy. Dorożka zatrzymała się przed cerkwią.

— Więc to w cerkwi? — pytam, — być nie może!

— Nie — odparł zdetonowany młodzieniec, — ale tu obok mieszka pop.

— Pop? — zdziwiłem się jeszcze bardziej, wiedząc, że popi na Litwie bez wyjątku są najpodlejszymi sługami rządowymi.

— Niech pan zaczeka — twierdził chłopak, — ja zaraz wrócę.

Po kilku minutach chłopak wypadł z cerkwi z wystraszoną twarzą, wskoczył do dorożki i kazał jechać. Mnie zaś rzucił krótkie słowo: «spalili».

Gdyśmy wyszli z dorożki, rozciekawiony wypytywałem chłopaka o ten dziwny skład wydawnictw rewolucyjnych.

Okazało się, że pani popadia była znajomą Michałowskiego od dzieciństwa, gdy się razem na podwórzu bawili. Potem ona wyszła za popa, on został rewolucjonistą, lecz znajomość się nie urwała. Na podstawie tej znajomości Michałek w czasie nieobecności popa zawiózł tam walizkę z bibułą i, nie

mówiąc o tym, co walizka zawiera, zostawił ją na pewien czas na przechowanie. Popadła nic o tym mężowi nie powiedziała. Lecz gdy Michałka aresztowano, wystraszona popadła przyznała się swemu małżonkowi, że ma jakieś rzeczy Michałowskiego. Małżonkowie złamali zamek i ku wielkiemu zdumieniu znaleźli bibułę, przykrytą w dodatku brudną męską bielezną. Pop chciał nieść to odrazu do żandarmów, lecz po namyśle przyszedł do przekonania, że go to może skompromitować. Spalił więc bibułę, a dla ulżenia sercu sprzął swą polowicę co się zowie.

Z podobnymi nieco perturbacjami składowymi, perturbacjami, wywołanymi przez panikę na peryferiach ruchu, zetknąłem się w Warszawie w 1900 r., w styczniu. Było to świeżo po grudniowych aresztowaniach tzw. «dekabrystów»¹⁾. Tak przez żart nazwano różnych literatów i przedstawicieli inteligencji warszawskiej, aresztowanych nie wiadomo za co w grudniu 1899 r. Wywołało to ogromny przestрах i spowodowało tchórzliwą drżączkę w całej masie rodzin inteligenckich o postępowym zabarwieniu. W tym samym czasie wypuszczono na Warszawę całą moc szpiclów, agentów świeżo utworzonej instytucji «ochrony», która wykazać chciała swą sprężystość i działalność.

Warszawa chyba do owego czasu nie widziała nic podobnego. Główne arterie ruchu, jak Marszałkowska, Nowy Świat i ulice, łączące je, były na wszystkich rogach udekorowane przez podejrżane figury, trącające siebie łokciami, dające sobie sygnały, zachowujące się bezczelnie i natrętnie. Rzucano się to każdemu człowiekowi w oczy, wszyscy o tej szarańczy szpiclowskiej mówili, powiększając jeszcze bardziej panikę wśród tych, co trzymając się najgorszej w konspiracji zasady: «na złodzieju czapka gore» — mieli już duszę na ramieniu i drżeli na sam widok niewinnego stójkowego.

Akurat w tym czasie wypadło mi być w interesach drukarnianych w Warszawie. Szedłem po Marszałkowskiej, gdy za sobą usłyszałem wołanie:

— Piłsudski! ależ stój, nie uciekaj!

Tak już się odzwyczaiłem od brzmienia mego nazwiska, że na razie nie zwróciłem uwagi na wołanie. Dopiero powtórny okrzyk zatrzymał mnie. Odwróciłem się — przede mną stał

¹⁾ Osoby, aresztowane w Warszawie z 21 na 22 grudnia 1899 r., przeważnie ze sfer literackich i w ogóle inteligenckich: A. Marburg, Ł. Krzywicki, A. Niemojewski, S. Sempołowska, Gomulińska, Jahołkowska, Mortkowicz, Kruszewski, S. Leszczyński, Michalski, Heflich i inni.

kolega z gimnazjum wileńskiego, szlagon ze Żmudzi, z którym podczas wędrówek po świecie spotykałem się niekiedy.

Rzuciłem okiem w około, lecz uspokoilem się. Nazwisko moje nie zwróciło niczyjej uwagi. Śnieg sypał przechodniom w oczy, wszyscy śpieszyli, nie patrząc na innych, i tylko na rogach ulic majaczyły postacie szpiclów. Uściskaliśmy się z kolegą, który mi zaraz bardzo tajemniczo zaczął szeptać, bym koniecznie wpadł do niego, do hotelu. Umówiliśmy się o godzinę i rozeszliśmy się. Stawiłem się punktualnie o naznaczonej godzinie. Kolega przywitał mnie serdecznie, lecz odrazu rzucił mi pytanie:

— Ty znasz, braciashku, moją bratową? Wiesz, my z nią przynosiliśmy dzisiaj jakieś wasze rzeczy. No, broszurki — dodał, widząc, że nie rozumiem, o co chodzi.

Byłem zdumiony. Kolega mój nigdy nie odznaczał się usposobieniem rewolucyjnym, a z socjalizmem nie miał nic wspólnego, prawdopodobnie nie przeczytał nigdy książki, ani broszury socjalistycznej.

O bratowej jego nigdy w życiu nie słyszałem, ale czułem, że wypieranie się moje do niczego nie prowadzi. Ludzie, stojący poza ruchem, tak samo, jak i żandarmi, są przekonani, że wszyscy rewolucjoniści znają się wzajemnie, jak łyse konie. Dla mego kolegi bratowa była widocznie rewolucjonistką, ja byłem na Syberii — wniosek stąd oczywisty, że się znać musimy.

— Jakże się to stało? — pytałem go zdziwiony.

— A widzisz, braciashku! — mówił z pewnego rodzaju triumfem. — Widzisz: zachodzę dzisiaj rano do bratowej, widzę — kobieta zakłopotana, chodzi zamyślona, odpowiada nie «wpopad» ¹⁾ — mówił z rosyjska. — Czego — pytam — siostrunia martwi się? Powiada, ma kłopot i że ja pomóc muszę. Ja na to — i owszem.

Przyznała mi się kobiecina, że ma na schowaniu nielegalne książki, ale że się teraz obawia je nadal zachowywać, bo jakiegoś jej znajomego niedawno aresztowali. Chce więc je przenieść tym czasem do starej ciotki, ale tego dużo i sama nie zabierze. Chce, żebym jej pomógł. No, myślę, ma nosić coś kobieta, poniosę i ja. Ale pytam, czy nie lepiej przewieźć — poco nosić? Ale wytłumaczyła mi, że to u nas tak się nie robi, że to zbyt widoczne, że trzeba pod paltotem nieść, a ona resztę poniesie pod rotundą. Jak taka moda, trudno. Opakowała mię bratowa książkami, sama wzięła parę pakunków i wyszliśmy

¹⁾ Nie do rzeczy.

na ulicę. Powiadam ci, braciashku, nie tchórz jestem, ale te książeczki mię paliły. Ciągłe mi się zdawało, że wszyscy patrzą na mnie. A tu, jak na złość, gdy podchodzimy do dorożki, bratowa mi mówi: patrz, tu szpicle stoją, nie bierzmy tej dorożki.

Idziemy dalej. Tam stali jacyś ludzie, ale grzecznie usunęli się nam z drogi. Nigdybym nie przypuścił, że to byli szpicle. Wyglądają wcale przyzwoicie, — ale wy chyba na tem się znacie. Przeszliśmy koło pięciu dorożek, wyobraź sobie wszędzie byli szpicle. Ilu tu ich jest! I to my na to tałatajstwo tyle podatków płacimy! Koło szóstej dopiero dorożki nikogo nie było — siedliśmy i jazda do ciotki na ulicę — tu wymienił mi nazwę ulicy, numer domu i nazwisko ciotki.

Tam bratowa długo coś szeptała z ciotką, wreszcie oswobodzone mię od tych pakunków. Wyobraź sobie, z dziesięć minut w paltocie stałem w pokoju — nigdy tak niegrzeczny nie byłem!

Opowiadał mi z takim zapałem, tak komicznie przyciszonym głosem, tak często podbiegał do drzwi i zaglądał, czy kogo za drzwiami nie ma, żem ledwie nie poległ od śmiechu, wyobrażając sobie, jak ta para wystraszonych profanów rewolucyjnych odsuwała się od dorożki, dlatego, że gdzieś niedaleko ktoś stoi lub przechodzi.

— A imaginuj sobie — mówił dalej kolega, — gdyśmy przyszli do domu, po książki przyszli...

— Jakto przyszli? — zerwałem się, chwytając za kapełusz, przypuszczałem bowiem, że mówi o żandarmach i że, jak to zwykle w takich wypadkach bywa, mój kolega jest już pod bacznym dozorem policji i szpiegów.

— A przyszli — potwierdził — wasi. Jakiś pan, raczej młody chłopiec z panną. Ten pan przedstawił mi się jako Szczurowski, ale bratowa mi mówiła, że to kłamstwo, bo jakoby wy prawdziwego swego nazwiska nigdy nikomu nie mówicie. Wiesz, że to niebardzo grzecznie, to mi się nie podoba.

Jak potem przez ciekawość sprawdziłem, część bibuły warszawskiej pozostawiono na noc u bratowej mego kolegi i ta po jednej nocy, spędzonej z bibułą pod jednym dachem, tak się wystraszyła, że zaledwie doczekawszy się rana, wyniosła ją natychmiast dalej.

Takie perturbacje składowe i panika, powstająca na pereferiach ruchu rewolucyjnego za lada przyczyną, sprawiają zwykle dużo kłopotów organizacjom i ludziom, zmuszonym opiekować się bibułą. Niekiedy mają przy tym miejsce przykre, wstrząsające sceny. O takiej właśnie scenie słyszałem

od pewnej towarzyszkii, która przez dłuższy czas opiekowała się bibułą i składami w Warszawie.

— Miałam — mówiła mi — wspaniały skład u jednej swojej znajomej, żony drobnego urzędnika. Naturalnie — dodawała feministycznie usposobiona towarzyszka — mąż o tym nic nie wiedział. Już to mężczyźni w sferze nieściśle rewolucyjnej są daleko większymi tchórzami, niż niewiasty. W dodatku pan mąż należał do kategorii zazdrosnych, co między wami na każdym kroku się zdarza. Biedna kobiecina drżała przed swym despotą, lecz w tajemnicy przed nim oddawała nam spore usługi. Co prawda, musieliśmy się stosować do warunków życia naszej składniczki. Przychodziliśmy do niej tylko w czasie zajęć biurowych pana domu, a więc przed obiadem, nie mogliśmy posyłać tam mężczyzn, bo razu pewnego, gdyśmy tak postąpili, Otello przez sługę się dowiedział o tem i zrobił straszną scenę żonie, która, nie chcąc zdradzić tajemnicy, nie mogła mu wytłumaczyć męskiej wizyty u siebie. Tak trwało dosyć długo — parę lat. Przychycałyśmy się do siebie, interes się ułożył, wszystko szło, jak po maśle.

I nagle spadła na nas katastrofa! Razu pewnego zachodzę w porze przedobiadowej do naszej składniczki, żeby się z nią umówić o przeniesienie do niej świeżego transportu bibuły agitacyjnej, dzwonię i ku wielkiemu zdumieniu słyszę za drzwiami męskie kroki. Przypuszczałam, że mąż-despota zachorował i nie poszedł do biura, lecz drzwi się otworzyły i przede mną stał sam pan mąż. Był blady, twarz miał zmęczoną.

— Czy pańska żona w domu? — spytałam grzecznie.

— Żona moja umarła — odpowiedział mi pan grobowym głosem.

Odkoczyłam przerażona. Było to tak nagłe i niespodziewane, że przez pewien czas nie mogła przyjść do siebie. Lecz wreszcie przez głowę przemknęła mi myśl, chociaż i śmiesznie mała wobec majestatu śmierci, lecz pomimo to obchodząca mnie — myśl o bibule.

— Pani była przyjaciółką mojej żony? — pytał łagodnym, przyciszonym głosem.

Pod wpływem łagodnego tonu rozmięklam i ja.

— Przepraszam pana — rzekłam, — że w takiej chwili będę pana mymi kłopotami zajmowała, ale nieboszczka żona pańska miała na przechowaniu trochę moich rzeczy. Miałam właśnie zabrać je teraz...

Nie dokończyłam, gdyż poczułam, że gospodarz chwycił mnie brutalnie za ramię i ciągnął do dalszych pokoi.

— Aha! to pani! — powtarzał chrypliwym głosem.

Wreszcie znaleźliśmy się w pokoju, gdzie tak niedawno jeszcze prowadziłam ze zmarłą przyjaciółką narady o wspólnym interesie, a gdzie teraz leżała ona martwa w trumnie. Koło nieboszczki modliła się jakaś staruszka, która na znak gospodarza wyszła z pokoju.

— Więc to pani! — mówił gospodarz, — co, jak wąż, wślizgnęła się do mojego domu, by zakłócać jego spokój, by swą niecną robotą narażać szczęście i dobre imię moje i mojej żony.

Oburzyłam się na te słowa, wydały mi się one obrazą pamięci mojej przyjaciółki, obok ciała której staliśmy w tej chwili.

— Niech pan żony swojej — powiedziałam ostro — nie obraża przypuszczeniem, że jak jakaś głupia istota bez woli mogła być wpłataną przez kogoś do rzeczy, nieuznawanej przez siebie za godną ofiary i poświęcenia. Jeżeli to robiła pod sekretem przed panem, to jedynie dlatego, żeby nie było piekła w domu, za co pan wdzięcznym jej być powinien. Proszę pana zaprzestać tych przykrych scen i powiedzieć wyraźnie, gdzie są książki i jak je mam odebrać.

— Nie! ja pani tak nie wypuszczę! — chrypiał gospodarz, — pani tu, w tym pokoju przysiąc mi musi, że z ust pani nie wyjdzie tajemnica, która hańbą pokryć dom mój może.

— O co panu chodzi? — rzekłam ze wstrętem, widząc, że ten człowiek drży o własną skórę i chce wykorzystać nawet śmierć żony, by tę skórę zabezpieczyć. — Jeżeli o to, by nazwisko pańskie nie było przeze mnie związkiwane wobec kogośkolwiek ze sprawami nielegalnymi, to i owszem, mogę panu to przyrzec, tym bardziej, że stanowi to mój obowiązek.

— Niech pani przysięga! — szeptał, biorąc krucyfiks ze stołu obok nieboszczki.

— Proszę zaprzestać komedii! — krzyknęłam, wyrrywając mu się z rąk, — niech panu wystarcza moje przyrzeczenie.

Gospodarz domu z nienawiścią patrzył na mnie. Wreszcie po chwili namysłu postawił krucyfiks na stole i rzucił mi:

— Dobrze! niechże pani dotrzyma swej obietnicy! Proszę za mną!

W następnym pokoju był koszyk z bibułą, wsunięty pod łóżko. Zamek, wiszący przy koszyku, był zepsuty.

— Proszę zabrać swoje rzeczy! — rzekł do mnie ostro. Zmusiłam go posłać po dorożkę, stróż zniósł mi koszyk na dół.

Byłam tak wzruszona, że nogi mi drżały i w głowie mi się kręciło, gdym schodziła ze schodów. Przechorowałam tę scenę, przez kilka dni stał mi w oczach pokój z trumną na stole i wściekłym gospodarzem, trzymającym mnie, jak w kleszczach, za ramię.

Wobec tak skomplikowanych urządzeń i stosunków ze składami większymi, wobec niemożliwości użytkowania ze składowych instytucji w każdej chwili, koniecznym jest rozdrabnianie księgarń-składów jeszcze bardziej, stwarzanie nowych, drobniejszych, lecz bliższych do konsumentów. W istocie, proszę sobie wyobrazić, że któremuś ze stolarzy, naprzykład, w agitacji wśród kolegów z warsztatu okazała się potrzebna, przypuśćmy, broszura «Kto z czego żyje?» — klasyczna popularyzacja teorii Marksa. Nasz stolarz potrzebuje jej natychmiast; mówił o tej broszurze swemu agitowanemu koledze, spostrzegł zainteresowanie się sprawą robotniczą u niego i radzi mu przeczytać broszurkę, obiecuje ją dostarczyć. Gdyby to zapotrzebowanie iść musiało do centralnych składów-księgarń, przechodząc różne stopnie organizacyjne, gdyby takie drobne zapotrzebowanie musiało się stosować do kaprysów hurtownych składników i składniczek, straciłoby się dużo czasu i broszura mogłaby trafić do rąk konsumenta wtedy, gdy potrzeba już minęła i znikł ten nastrój, który stanowił o skuteczności wpływu broszury. Oprócz więc hurtownych składów muszą istnieć i detaliczne.

Z natury rzeczy są one drobne. Kilka egzemplarzy najpopularniejszych broszur, kilka zapasowych numerów «Robotnika» — oto najczęstszy inwentarz tych małych, podręcznych księgarń. Każdy nieledwie agitator ma taki składzik z zapasowymi wydawnictwami, najbardziej niezbędnymi w robocie. Często i tutaj dla zabezpieczenia składu ludzie poszukują miejsca dla niego wśród swoich osobistych znajomych, nie biorących bezpośredniego udziału w czynnym życiu organizacji. I bodaj największe usługi w tym wypadku oddają kobiety.

Niekiedy, lecz bardzo rzadko, takie detaliczne księgarnie bywają urządzone w fabrykach lub warsztatach. Nie zawsze jest to bezpiecznym, bo żandarmi często nie ograniczają się poszukiwaniem w mieszkaniach, zajmowanych przez podejrzane osoby. Przetrzęsają oni biurka w kancelariach, szafki z instrumentami w fabrykach i warsztatach. W Żyrardowie w 1900 r. aresztowano maszynistę, którego podejrzewano o rozpowszechnianie bibuły. Zrobiono przy tym najstaranniej rewizję w całej maszynszubie fabrycznej. Nie znaleziono nic. Po pewnym czasie wskutek zdrady jednego z wtajemniczo-

nych zrobiono tam rewizję po raz drugi. Tym razem poszukiwania wykazały, że w podmurowaniu maszyny parowej była ukryta taka właśnie detaliczna księgarenka.

W ogóle wśród robotników, którzy najbardziej są narażeni na rewizje i napaści żandarmów, mocno jest rozwinięta wynalazczość w kierunku urządzania różnych dowcipnych skrytek i schowanek dla podręcznych księgarń z niewielką ilością bibuły. Jak mnie zapewniano ze strony ludzi, znających dobrze te stosunki, te skrytki urządzone są nieraz po mistrzowsku i często zostają niewykryte przy najściślejszych rewizjach. Zdarzało się nieraz, że po aresztowaniu właściciela takiej skrytki bibuła leżała rok i więcej, pomimo, iż nowi lokatorowie w mieszkaniu lub robotnicy w fabryce codzień mogli je wykryć. Opowiadano mi o wypadku, gdy któryś z warszawskich robotników zostawił w swym mieszkaniu niewykrytą przy rewizji bibułę. Robotnik ten został skazany na wygnanie i po kilku latach wrócił do Warszawy. Po powrocie postanowił się dowiedzieć, co się stało z ową bibułą. Szczęśliwym trafem znalazł swe dawne mieszkanie zajęte przez znajomego towarzysza partyjnego. Poszedł więc do niego i ku wielkiemu jego zdumieniu wyjął ze skrytki bibułę, nieco zresztą uszkodzoną i zbutwiałą od wilgoci.

Na prowincji, gdzie otoczenie i tryb życia często jest na pół wiejskie, urządzenie detalicznej księgarenki jest znacznie łatwiejsze, niż w dużych miastach, jak Warszawa i Łódź. W tych warunkach wykorzystać można dziesiątki zakamarków i kącików, o których prawie z pewnością powiedzieć można, że są zupełnie bezpieczne i niedostępne dla najszczańszych lisów żandarmskich. Tam też często się zdarza, że przy aresztowaniach na ulicy lub w warsztatach współtowarzysze aresztowanych uprzedzą żandarmów i wyniosą z mieszkania wszystko, co może kompromitować aresztowanego, nim władza zdąży z rewizją. Oto wiadomo o takim właśnie fakcie w Zagłębiu Dąbrowskim.

Zagłębie, którego poszczególne części, jak Sosnowiec lub Dąbrowa, rozwijają się i zaludniają z istic amerykańską szybkością, jest pod względem policyjnym i kulturalnym zwykłą, najobskurniejszą dziurą. Ani organy rządowe, idące w swym rozwoju ze zwykłym w Rosji pośpiechem żółwia, ani instytucje kulturalne w społeczeństwie, skrzepowanym przez barbarzyńskie prawa caratu, nie mogą dotrzymać kroku szybko postępującemu naprzód przemysłowi tego zakątka. Stąd wynika, że ani ulice, ani mieszkania, ani paszporty, ani dozór policyjny — słowem, nic prawie nie jest uregulowanym. Gdy

więc kto wskaże swe miejsce zamieszkania, to nieraz trzeba dużo stracić czasu, nim się wskazany punkt odnajdzie. Żandarmeria, która w tych warunkach ma również utrudnione zadanie, załatwia się tam nieraz w ten sposób, że aresztuje robotników przy wyjściu z fabryki i dopiero stamtąd wyrusza na poszukiwanie mieszkania aresztowanego. Poszukiwania te trwają nieraz parę dni.

Otóż razu pewnego aresztowano w ten sposób robotnika, u którego na składzie leżało sporo bibuły. Aresztowany, licząc na pomoc towarzyszków, dał żandarmom o swym mieszkaniu wskazówki tak nieokreślone, że ci w żaden sposób tegoż dnia trafić doń nie mogli. Wiadomość o aresztowaniu kogokolwiek szybko się rozchodzi. Współtowarzysze więc wiedzieli o wypadku tegoż dnia wieczorem. Wysłano naprzód na zwiady jednego ze spiskowców. Ten wrócił z zapewnieniem, że żandarmi dotąd nie dotarli do mieszkania. Wyruszono tedy w kupie z przygotowanym workiem. Jedni stanęli na straży wokoło, by umówionym sygnałem uprzedzić w razie czego innych, którzy zakradli się do mieszkania przez wybitą szybę i wyciągnęli stamtąd całą księgarnię. Żandarmi trafili do mieszkania dopiero nazajutrz, czy jeszcze później i, naturalnie, nic nie znaleźli.

Ma się rozumieć, towarzysze dąbrowscy mieli zadanie ogromnie ułatwione. Ciemności egipskie, brak policji, błotniste drogi i ścieżki — wszystko to stwarza doskonały grunt zarówno dla istotnych rzezimieszków, jak i dla tych, co w jakim bądź celu brać na siebie muszą ich rolę.

Te drobne składy-księgarenki, rzecz prosta, sprawiają swym właścicielom i organizatorom również kłopoty przy panice podczas większych aresztowań, jak to widzieliśmy przy hurtownych składach. Kłopoty te są mniejsze, bo przecie z niewielką ilością bibuły łatwo sobie dać rady — nie przedstawia żadnej trudności przenieść ją w kieszeni lub nawet zniszczyć w ostatecznej potrzebie. Uważam jednak za obowiązek przyznać, że te właśnie detaliczne składy, rozmieszczone najczęściej wśród ludności robotniczej, mniej są narażone na szwank z powodu strachu składnika lub składniczki. Ludzie w tej sferze są stanowczo odważniejsi i więcej cenią pracę i poświęcenie, włożone w każdy egzemplarz bibuły w państwie cara.

Zdarzają się jednak wypadki, gdy panika ogarnia i odważniejsze serca. A że strach bardzo często jest najgorszym doradcą, bywały wypadki, że właśnie strach gubił ludzi. Opowiadano mi, że do Pabianic pod Łodzią razu pewnego przyje-

chali żandarmi. Nie wiadomo było, do kogo się udadzą, lecz niektórzy z tych, co mieli coś niecoś na sumieniu, uznali, że, jeśli żandarmi przyjechali, to niechybnie dla nich. Otóż jeden z tych ogarniętych strachem przypomniał sobie, że u niego leży kilka broszur. Biegnie czym prędzej do domu i w pośpiechu zakopuje je na swym podwórku. Bojąc się jednak, by kto nie nadszedł, zakopał je bardzo płytko. Żandarmi zrobili parę rewizji i nie zaczęli wcale o naszego tchórza. Lecz cóż się stało? Świnia, chodząc po podwórku, wryła zakopaną świeżo bibułę i wysunęła jedną z broszur na ulicę. Spostrzegł to ktoś z władzy i w rezultacie naszego tchórza aresztowano. Odtąd, jakoby, w Pabianicach dla przestrogi młodych opowiadają historię o tym, jak «świnia zasypała towarzysza».

Jak widzimy, w interesie bibulastym rozwiniętym jest system pośrednictwa. Książka lub broszura, nim dojdzie do rąk swego czytelnika, przechodzi przed tym przez cały szereg rąk pośredniczących — komiwojażerów partyjnych, składników centralnych, hurtownych, wreszcie detalicznych.

Naturalnie, powiększa to ilość pracy, włożonej w każdy egzemplarz bibuły, a zatem i wartość jego. Cały ten ogrom pracy pośredników, unikających w dodatku poczty, jak ognia, jest wynikiem nielegalności pracy z bibułą, a cały misterny system składów, podskładów i składzików jest koniecznym skutkiem przystosowywania się do dzikich warunków politycznych w państwie rosyjskim. Prześladowania rządowe wpływają na zwiększenie nieprodukcyjnej pracy pośredników pomiędzy wytwórcami i konsumentami bibuły do tego stopnia, że swemi rozmiarami, ilością ludzi, zajętych przy niej, przewyższa ona stokrotnie pracę ściśle produkcyjną. Pośrednictwo staje się dominującą częścią sprawy rozpowszechnienia bibuły i decyduje o ilości i nieprzerwalności w kursowaniu bibuły w kraju.

Na razie w PPS., która, jak to widzieliśmy, we wszystkim, tyczącym się bibuły, stworzyła nowe wzory postępowania, robiono główny nacisk na produkcję bibuły. Zdawało się, że reszta, to jest pośrednictwo, przyjdzie samo przez się, zorganizuje się łatwo. W istocie dalsza część systemu — lokalne składki hurtowne i detaliczne składziki — zorganizowały się bez trudu. Konieczny związek pomiędzy nimi był utrzymywany przez lokalne organizacje partyjne, mające w swym rozporządzeniu dostateczną ilość ludzi, by zarówno system, jak i związek pomiędzy pojedynczymi ogniwami, nie ponosił szwanku.

Trudniejszym było dopasowanie centrów produkcji bi-

buły — granic i drukarni — do głównego składu oraz tego składu do lokalnych składowych instytucji. Dopóki bibuły nie było tak dużo, dopóki stosunki organizacji nie sięgały dalej poza główne miasta i ogniska przemysłowe, wszystko szło jako tako. Sprawy bibulaste załatwiano się przygodnie — przy innych interesach lub też przy okazjach. Nieliczni funkcjonariusze partyjni dawali sobie z tym radę.

Lecz wkrótce ilość bibuły zaczęła się zwiększać, wymagania wzrastać, stosunki rozszerzać. To, co było dobrym i dostatecznym dla paru tysięcy egzemplarzy różnych wydawnictw i dla czterech, pięciu punktów organizacyjnych stało się nie wystarczającym, gdy chodziło o dziesiątki tysięcy egzemplarzy, gdy trzeba było zaglądać do dziesiątków miast i miasteczek.

Jeden z towarzyszków, entuzjastów bibuły, który w dodatku starał się zawsze o cyfrowe przedstawienie rzeczy, mówił mi rok temu:

— Nie masz wyobrażenia, jak się stosunki zmieniły! Dawniej, gdy się sprowadziło 500 egzemplarzy jakiej broszury, to się miało cały rok zapewniony. Szło to sobie powoli, kropelkami. Teraz 300—400 egzemplarzy porządnej, łatwej do czytania broszury wystarcza za ledwie na pierwszą porcję. Puścisz tę parę setek i jeszcze się nasłuchasz pretensji, że za mało tu lub gdzie indziej dano.

Mniej więcej w ten sam sposób przedstawiano mi rzeczy w Londynie, głównym wydawniczym punkcie dla socjalistycznych broszur polskich, przeznaczonych dla zaboru rosyjskiego.

Dawne wydawnictwa, z okresu przed PPS-owego, które rozchodziły się powoli, już się zupełnie wyczerpały. A teraz, gdy trzeba dawać nowe wydania starych rzeczy lub wydawać świeże, nie warto bić mniejszej ilości, jak 7—10 tysięcy, ilości niesłychane dla poprzedniego stadium ruchu.

Z chwilą więc, gdy przygodne załatwianie interesów bibulastych przy rozwoju stosunków stało się utrudnionym, zaczęło się wkradać zamieszanie do organizacji pośrednictwa w dostarczaniu bibuły z instytucji centralnych do lokalnych. Nieliczni funkcjonariusze byli przeciążeni pracą, którą dotąd uważali dla siebie jako dodatkowy, przygodnie wypełniany obowiązek.

Jeden z towarzyszków, który w tym właśnie okresie pracował, opowiadał mi ze złością:

— Bibuła zapanowała nad nami, byliśmy jej niewolnikami, sługami. O niczym innym niepodobna było myśleć, jak

tylko o walizkach, jazdach z bibułą, umowach o dostarczenie tego lub owego z centralnego składu. Towar panował nad wytwórcą. Brr!... — wstrząsnął się, — paskudny był to czas!

Naturalnym wyjściem z tego położenia rzeczy było wyodrębnienie sprawy pośrednictwa pomiędzy centralnymi zbiorówiskami bibuły a lokalnymi księgarniami-składami w osobną funkcję organizacyjną. Bibuła w ten sposób panuje nieograniczenie nad ludźmi, do tej funkcji przystawionymi, lecz za to inni są wolni od tej troski i mają do czynienia z bibułą tylko o tyle, o ile wchodzi ona w zakres bezpośrednich czynności organizatorskich i kolporterskich.

Przy takim wyodrębnieniu funkcji bibulastych i oddaniu ich w ręce rzeczywistych niewolników bibuły znikać też musi stopniowo i przygodność, wypadkowość w załatwianiu spraw, związanych z bibułą. Cała maszyneria, mająca na swe usługi specjalistów, nabiera precyzji w działaniu i regularności w ruchach. Takimi specjalistami są towarzysze, zajęci przy rozwożeniu bibuły do różnych lokalnych składów-księgarni. O kłopotach ich z powodu zajazdów opowiadałem wyżej, wykazałem, jak bardzo obciążoną jest ich pamięć drobnymi szczegółami. Lecz nie jest to wszystko. Skazani są oni w dodatku na spędzanie nieledwie połowy swego czasu w dużych wagonach kolejowych. Właściwie nazwaćby ich można komiwojażerami od bibuły.

O szerokości tego interesu w PPS. świadczyć może następujące obliczenie, zakomunikowane mi przez ludzi, prowadzących rachunki partii. Jako osobna rubryka wydatków partyjnych figurują w rachunkach «bilety kolejowe». Przeciętnie w rubryce tej co miesiąc rachmistrze partyjni wpisują cyfrę — 500 rubli. W niektórych miesiącach, jak mi mówiono, wydatki te dochodzą do 600 rubli (756 guldenów czyli 1500 koron). Jak mnie zapewniano, połowa tej sumy jest wydawaną przez komiwojażerów od bibuły, reszta przypada na różne organizacyjne wyjazdy. Jeżeli zaś przyjmiemy pod uwagę, że taryfa pasażerska na kolejach rosyjskich jest najniższą w Europie i że cały obszar Polski razem z częścią Litwy, objętej przez działanie PPS., nie jest znowu tak duży, łatwo zrozumiemy, jak częste są podróże komiwojażerów, zmuszonych wydawać rocznie 3000 rubli na bilety kolejowe.

Opowiadano mi, że z powodu tych częstych podróży jeden z żartownisiów podawał projekt, by partia zwróciła się do zarządów kolejowych z wymaganiem zniżki na biletach dla swych funkcjonariuszów, dających tak znaczny zarobek kolejom. Inny dowcipniś żartował, mówiąc:

— Na naszych komiwojażerach nie sprawdza się znane twierdzenie znakomitego satyryka rosyjskiego, Szczedryna, że każdy rosyjski poddany składa się z trzech części: ciała, duszy i... paszportu, albowiem ci najczęściej paszportu nie posiadają. Natomiast — twierdził — możnaby sformułować względem nich tę myśl inaczej: składają się oni z ciała, duszy i... przewodnika kolejowego, z którym się nigdy nie rozstają równie dobrze, jak prawowierny poddany rosyjski z paszportem.

W istocie książka z rozkładem kolejowym jest najczęstszą lekturą komiwojażerów. Wszystkie kwestie, tyżące się ruchu pasażerskiego na kolejach, są przez nich znakomicie wystudiowane. Ile i gdzie jaki pociąg stoi na stacji, gdzie się pociągi krzyżują, w jakich pociągach znajdują się wagony komunikacji bezpośredniej z dalszymi kolejami, dopłaty kolejowe, które koleje mają najwygodniejsze wagony — wszystko to są sprawy, co do których najlepszych informacji zawsze udzielić może towarzysz-komiwojażer.

Specjalną uwagę zwracają komiwojażerowie na szpicłów na dworcach i zielonych. Wobec tego, że pociągi, idące od granic państwa, są najbardziej strzeżone, wybierać nieraz trzeba, szczególnie, gdy się jedzie z rzeczami, takie pociągi, które na stacji, będącej celem podróży, nie spotykają pociągów nadgranicznych. Uważać też należy na dworcach kolejowych na podejrzaną figurę, kryjące się po kątach. Słowem, głowa biednych komiwojażerów jest wiecznie przepelniona szczegółami i drobiazgami zajazdowymi, składowymi, kolejowymi, a rozmowy kręcą się zwykle około przygód kolejowych i szpicłów na dworcach.

Wobec tak częstych podróży kolejowych komiwojażerowie spotkać się też musieli z plagą kolei rosyjskich — złodziejami, operującymi w pociągach. Oto fakt, o którym słyszałem od jednego z towarzyszków.

Razu pewnego komiwojażer z bibułą, zapakowaną w niewielką ręczną walizkę, wyruszył z Warszawy do jednego z miast prowincjonalnych. Wobec zmiany zajazdu miał go spotkać na dworcu jeden z towarzyszków miejscowych, który musiał go zaprowadzić do nowego, przeznaczonego na zajazd mieszkania. Gdy pociąg wchodził na stację, nasz komiwojażer stał przy oknie przedniego wagonu i lustrował publiczność na peronie dworca, chcąc zawczasu wiedzieć, w którym miejscu stoi spotykający go towarzysz, żeby niepotrzebnie nie kręcić się potem na peronie.

W istocie spostrzegł z okna oczekującego go towarzy-

sza, lecz niedaleko od niego dojrzał też znanego mu z poprzednich podróży szpicla. Postanowił więc skontrolować zachowanie się szpicla i przekonać się, czy nie stoi on przypadkiem dla towarzysza na peronie. Gdy zatem pociąg stanął, wyskoczył zeń bez bibuły, chcąc zobaczyć, co będą robili obserwowani przezeń ludzie. Po chwili przekonał się, że obawy jego były mylnymi. Oczekujący go towarzysz szedł w kierunku lokomotywy, gdyż spostrzegł komiwojażera w oknie pierwszego wagonu, a szpicel pobiegł lustrować pociąg w jego ogonie. Uspokojony komiwojażer wraca do wagonu po swój bagaż i, proszę sobie wyobrazić jego przestrasz i zdziwienie, gdy go na miejscu nie znajduje.

Rozpytuje sąsiadów i dowiaduje się, że przed chwilą wszedł do wagonu jakiś człowiek i zabrał pakunek, jak własny. Sąsiedzi z ciekawości rozpytują, czy to nie złodziej, chcą iść do żandarma kolejowego, opisują cechy zewnętrzne człowieka, który zabrał rzeczy. Nasz komiwojażer był w ogromnym kłopotcie. Bibuły szkoda, lecz zarazem niepodobna odszukiwać złodzieja. Żandarm otworzy walizkę, znajdzie tam bibułę — i oprócz bibuły zginie i człowiek. Naprędce więc uspokoił sąsiadów twierdzeniem, że z opisu poznaje znajomego, z którym jechał i który prawdopodobnie czeka go na peronie. Publiczność uspokoiła się, a nasz niefortunny komiwojażer zdetonowany wyszedł z wagonu, by opowiedzieć swą przygodę towarzyszowi.

Zdarzają się też inne przygody kolejowe. Wybieram z pomiędzy słyszanych dwie dosyć charakterystyczne.

Jeden z towarzyszków wiozł w ciężkiej walizce bibułę. Był wściekle głodny, więc na większej stacji wyskoczył, by przegryźć cokolwiek w restauracji stacyjnej. Niestety chciało, że pociąg z powodu opóźnienia stał na stacjach krócej, niż mu wypadało według rozkładu jazdy. Nasz towarzysz zagapił się i opuścił porę wsiadania — pociąg ruszył bez niego, uwożąc walizkę z bibułą. Niedługo myśląc, komiwojażer zdepeszował, by rzeczy jego zatrzymano do następnego pociągu. Opisał zewnętrzne cechy walizki, miejsce, przez siebie zajmowane w wagonie, liczył więc na to, że mu wydadzą walizkę bez kłopotu i protestu. Przed odjazdem otrzymał depeszę, że rzeczy jego zatrzymano o kilka stacyj dalej i są u żandarma.

Uspokojony przybywa wreszcie na oznaczoną w depeszy stację i zwraca się do żandarma kolejowego, żądając zwrotu swej walizki. Żandarm pokazuje mu walizkę, którą nasz towarzysz uznał za swoją, lecz oznajmia, że w takich wypadkach prawo mu nakazuje zażądać od pasażera opisu rzeczy, znaj-

dujących się w walizce, którą może wydać dopiero wówczas, gdy się przekona, że w istocie w walizce znajdują się wskazane przez pasażera rzeczy.

Nasz towarzysz zaczął się śmiać z tych wywodów żandarma, dowodząc, że przecie nikt inny, jak właściciel, nie depeszował o zatrzymanie walizki, i na dowód pokazał kwit urzędu telegraficznego. Żandarm jednak nie dawał się przekonać i nastawał, by towarzysz wymienił rzeczy, znajdujące się w walizce, i otworzył ją przy nim. Zakłopotanie biednego komiwojażera wzrastało. Zaczął niby szukać w kieszeniach kluczyka od walizki, wymieniając nie istniejące wcale rzeczy. Tym czasem zbliżał się czas odjazdu i wreszcie żandarmowi dokuczyciło to oczekiwanie; zapisał więc tylko nazwisko i adres naszego towarzysza — naturalnie, zmyślane — i oddał mu walizkę, nie otwierając jej wcale.

O innej przygodzie, z nieco bardziej tragicznym skutkiem, opowiadano mi niedawno. Towarzysz wioził odezwę z aresztowanej przed paru miesiącami drukarenki w Brześciu. Siadł do wagonu wieczorem, a że przed tym parę nocy nie dosypiał w podróżach i znalazł odpowiednie miejsce, położył się na ławce i wkrótce zasnął, zostawiwszy zawiniątko z odezwanami na siatce dla bagażu ręcznego. Wypadkowo jakiś kupiec, który miał jechać tym samym pociągami i wniósł swój pakunek do wagonu, dla jakichś powodów został na stacji, zapominając o swych rzeczach. Depeszował więc, by jego bagaż ręczny zatrzymano.

Wskutek depeszy konduktorowie szukali zapomnianego pakunku w wagonach. Czy zawiniątko z odezwanami było zewnętrznie podobne do bagażu owego kupca, czy też, nie doszukawszy się właściciela zawiniątka, bo nasz towarzysz spał w najlepsze, konduktor przypuszczał, że pakunek bez właściciela jest poszukiwanym przez kupca bagażem — dosyć, że zawiniątko z odezwanami zabrano i odesłano na stację, oznaczoną przez kupca. Nasz towarzysz, gdy się obudził, odezwy już nie znalazł i gorzko sobie wyrzucał, że nie wziął zawiniątka pod głowę. Sądził, że rzeczy mu skradziono.

Wkrótce jednak okazało się, że z powodu tych odezwy wynikła cała awantura. Kupiec zgłosił się na stację po zapomniane rzeczy, lecz tam aresztowano go natychmiast — zawiniątko zwróciło uwagę żandarma, który zrewidował zawartość bagażu i znalazł tam nielegalne druki. Biedny kupiec, jak mi opowiadano, siedział parę tygodni w więzieniu, nim się cała sprawa wyjaśniła i znaleziono właściwe rzeczy, zapomniane przez niego w wagonie. Rzeczywistego właściciela zawi-

niątką z odezwaniami — towarzysza, który zasnął w wagonie — nie odszukano.

Do kłopotów komiwojażerskich należy też pomiędzy innymi staranie się o odpowiednie opakowanie przewożonej bibuły. W jednym wypadku, gdy się zajeżdża do domu inteligencko-burżuazyjnego, trzeba mieć porządne, dobrze wyglądające walizki, sakwojaże itp. rzeczy. W innym, gdy się ma zająć do proletariackiego mieszkanca, takie właśnie porządne podrózne nesesyery zwracają niepotrzebnie uwagę. Oprócz tego przewozi się bibułę w rozmaitych ilościach. Jak niepodobna wieźć dużo bibuły w małym koszyku, tak zarówno unikać należy przewożenia niewielkiej ilości druków w dużych pudłach i walizach.

Zdawałoby się, nic łatwiejszego! Dostyc jest mieć asortyment waliz, koszów, pasów rzemiennych, by odpowiednio do potrzeby wybrać zeń należyte opakowanie. W istocie zaś nie tak łatwo to urządzić. Zajeżdża, np., komiwojażer do przygotowanego dla niego mieszkania. Oprócz tego interesu ma on do załatwienia jeszcze inne — musi się z tym lub owym towarzyszem zobaczyć w innym punkcie, musi zjeść obiad, powinien się zastosować do warunków zajazdu, które to warunki często nie pozwalają na odebranie natychmiastowe przywiezionej walizki albo na zjawianie się powtórne w mieszkaniu zajazdowym. Nieraz z zajazdu bibuła nie może być wyekspediovana do składu od razu, a komiwojażer musi śpieszyć do pociągu, by zdążyć na następną randkę. I oto w rezultacie asortyment już jest zepsuty, ta lub owa rzecz «posiana», jak się mówi w technicznym języku komiwojażerów.

Takie wypadki zdarzają się na każdym kroku, a że wyjazdy z bibułą są częste, więc biedni komiwojażerowie są w wiecznej pogoni za walizkami, koszykami, paskami. Pieniędzy często brak na drogę lub jedzenie, więc kłopot jeszcze bardziej się zwiększa i komiwojażerowie często pożyczają u tego lub owego znajomego odpowiednią walizkę lub koszyk i wówczas oprócz innych interesów, leżących na ich głowie, powstaje nowy: odebranie i odwiezienie pożyczonej na czas pewien walizki.

W dodatku, jeśli sobie czytelnik przypomni to, com mówił o trzecim pasie pogranicznym, zrozumie, że takie lub inne opakowanie bibuły ma swe znaczenie dla nadania pozorów odpowiednich wobec zielonych, stojących na dworcach i stacjach kolejowych. Pod tym względem są brane pod uwagę wszystkie właściwości danej walizki lub torebki podróźnej i specjalnie jest cenioną cecha, nie często się spotykająca, —

mianowicie pakowność, tj. możność umieszczania wielkiej ilości bibuły przy zewnętrznych pozorach niedużej objętości. Jak wielką wagę przywiązują komiwojażerowie do swych walizek i torebek, wnioskować można z pewnego uosabiania tych martwych rzeczy. W języku ich walizki i torebki noszą nazwy «blondynek», «brunetek», «rudych facetek» — stosownie do koloru skóry, która stanowi zewnętrzną stronę opakowania bibuły.

Wobec tego, że te szanowne «panie» zwykle ulegają zaprzepaszczeniu, czyli «posianiu» w zajazdach i składach, toczy się o nie wieczna wojna pomiędzy komiwojażerami i towarzyszami lub towarzyszkami, zarządzającymi powyższymi instytucjami. I oto do instrukcji, udzielanych sobie wzajemnie przez komiwojażerów, wciskają się nowe szczegóły.

— A nie zapomnij pan — dodaje jeden z nich przed odjazdem drugiego — wyciągnąć z N. N. brunetkę, com ją posiał ostatnim razem. Wspaniała facetka: lekka, jak anioł, a pakowna, jak studnia! Taka mi jej szkoda, jakby mi rękę kto uciął. Te szelmy z zajazdu gotowi ją nam zaprzepaścić na amen!

Albo też do przeładowanej już szczegółami podróży głowy wyjeżdżającego komiwojażera dodaje się jeszcze jeden szczegół:

— Słuchaj! jak będziesz w Zagłębiu, wstąp tam do X. U nich od dawna już leży posiana brunetka. Podła to sztuka i nic nie warta, ale pożyczyłem ją u Z. i ten ananas gwałtownie domaga się zwrotu. Trzeba być uczciwym w interesach, bo jak przyjdzie bieda, nie znajdziemy nigdzie pomocy. Zawieź ją chociażby do kogokolwiek w Warszawie, będzie potem łatwiej zrobić z nią porządek.

Opisany wyżej system pośrednictwa jest, zdaniem moim, jedynym systemem, mogącym zabezpieczyć prawidłowe i stałe rozpowszechnianie druków nielegalnych w warunkach politycznych państwa rosyjskiego. Gdzie tych ogniw, łączących wytwórców z konsumentami, nie ma, tam nie może być i mowy o stałym dopływie bibuły — krwi ożywczej dla organizacji rewolucyjnej pod caratem.
